http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1897.

TOM II.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXXXVI.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.
DRUK JANA COTTY,
ulica Senatorska № 29.

1897.

http://rcin.org.pl

Fundacji im. J. J. Michalskiego
Ze zbiorów

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Мая 1897 года.

7572

http://rcin.org.pl

F. 7572

Dygasiński jako beletrysta.

I.

Dzieła Dygasińskiego—to mieszanina najrozmaitszych ilości dodatnich i ujemnych, które są bardzo trudne do rozgatunkowania ścisłego. Pominąwszy bowiem nawet stosy artykułów dziennikarskich i dzieł i dziełek oryginalnych, kompilacyjnych, tłómaczonych, tyczących się pedagogiki, historyi naturalnéj lub filozofii, dostaniemy się do istnego labiryntu beletrystycznego: pilnie się tu trzeba trzymać nici Aryadny, żeby nie zbłądzić.

Czego tu nie ma w tych paru dziesiątkach tomów? Obok wcale poprawnéj powieści o tle społecznem, widzimy drobny szkic z życia zwierząt; przy rubasznéj nieco, ale charakterystycznéj humoresce, rozpiéra się poemat w prozie patetycznie pretensyonalny; rozprawka tendencyjna lub popularyzatorska w kostyumie maskaradowym noweli, staje przed nami obok powieści fantastycznéj *à la* Aymard; „bajka cudowna" idzie po wyładowaniu skłonności do karykatury; sentymentalnie moralizatorska powiastka dla dzieci sąsiaduje z wcieleniem pozytywnéj trzeźwości pedagogicznéj i t. d. Tu znajdziemy na dnie upodobania popularyzatorskie, tam tendencyą społeczną, owdzie talent naturalistyczny, gdzieindziéj jeszcze temperament humorysty, a w wielu wypadkach nic, prócz usiłowań wzruszenia lub zachwycenia czytelnika.

http://rcin.org.pl

Przerzucając się lat temu około 15 do literatury pięknéj, Dygasiński zmienił raczéj formę, niż ducha swéj działalności. Wyobraźnia jego nie pożyczyła skrzydeł od jakichś odrębnych, a tłumionych tylko do owego czasu sił ducha, lecz zastosowała się w sposób odpowiedni do wymagań, dyktowanych przez nową formę dawnym tendencyom i upodobaniom naturalisty, pedagoga i społecznika. Rozum nie złożył tu wcale władzy naczelnéj w ręce uczucia, sam się z niém nie stopił; zagłębił się on tylko bardziéj trochę w szczegóły, a przytém nadał w pewnych wypadkach humorowi władzę niby niezależną: tak ongi cezar rzymski dobiérał sobie wśród poddanych kolegę do panowania.

Dygasiński jako pisarz—to uosobienie zdrowego rozsądku i dobrego humoru, które stanowią chyba całą jego bynajmniéj nie buntowniczą filozofię życia, w pesymizmie jego bowiem trudno dojrzéć pierwiastek filozoficzny. W dziełach jego co krok napotykamy dowody inteligencyi, wiedzy, spostrzegawczości, nawet bystréj domyślności, ale nigdzie téj intuicyi, która widzi to co jest niedostrzegalne dla innych, przenika do głębin ducha niedostępnych dla zwykłych śmiertelników. Korzenie pomysłów jego nie sięgają wgłąb, lecz ciągną pożywienie z saméj powierzchni serca ludzkiego: pobudki uczuć i czynów w dzieciach jego ducha tak są zawsze ogólnikowo proste i pospolite, czysto niemal zwierzęce. Zaledwo parę momentów z życia jednego z bohatérów jednéj z ostatnich jego powieści zdaje się temu przeczyć.

W najlepszych nawet utworach jego nic nas nie wzrusza, nie rozmarza, nie roznamiętnia. Patrzymy na najzdrowsze owoce téj wyobraźni niby na szarość powszednią czyjegoś życia, w najlepszym razie bardziéj tylko trochę zajmującą w wyciągu, bo wymagającą mniéj czasu i trudu na przyjrzenie się jéj cudzemi oczyma. To téż tu i owdzie Dygasiński w sposób nieraz pożyteczny da impuls naszéj myśli, ale serce czytelnika nad utworami jego wtedy tylko mocniéj uderzy, krew wtedy tylko pobiegnie żwawiéj w żyłach, kiedy będzie chodziło o śmiéch.

Wątpliwości bowiem nie ulega, iż sam tylko humor mocen jest nadać cechę twórczości wogóle przetwórczéj tylko w dziedzinie sztuki wyobraźni D.; on tylko czyni niekiedy ze służebnicy zasad, poglądów i rozumienia rzeczy—panią niezależną, to téż w tym rodzaju jedynie zdobywa się Dygasiński na szczery artyzm *sui generis*. Należy także dodać, że jak wytrwałe jego popularyzatorstwo mniéj jest spokrewnione z zapałem, niż ze zdrowym rozsądkiem, tak ów artyzm humorystyczny wypływa z temperamentu. D. potrafi opisać z iście doskonałą prawdą psychologiczną i obrazowością tylko to, co go zdaje się szczerze do śmiechu pobudzać. Satyra jego niezmiennie przechodzi

http://rcin.org.pl

w karykaturę, a filozofia bywa tylko mniéj lub więcéj zabawném lub patetyczném rezonowaniem.

Zaznaczyć też wypada, że samoanaliza D. w zupełnéj jest zgodzie z mojém zdaniem o jego twórczości artystycznéj. „Artysta — wykłada on — bawi się tworząc i dlatego tworzy. Bawi się — jest może wyraz najodpowiedniejszy, jakkolwiek zgorszy tych, którzy lubią w takim razie widzieć „głęboką zadumę duszy", prawić „o bólach porodu" i t. d.

II.

W dziełach D. znajdujemy też skarb jeden, skromny, ale własny; to miłość dla ziemi swojéj, miłość, którąbym nazwał żywiołową, oczywiście ze względu nie na jéj wielkość i ognistość, lecz na źródło. Ona to—nie w sercu według formuły poetyckiéj umiejscowiona, lecz każdą fibrę przenikająca — dyktuje często D. słowa, przesiąknięte poprostu barwami, dźwiękami i wonią łanów i borów naszych. Ona to każe mu lubić i lud, mocniéj od drzew do gruntu przyrosły, i chłopską „gadzinę", i wszelkie dzikie ptastwo i zwierzęta, które ta ziemia żywi. Ta miłość z tém lubieniem czynią nam Dygasińskiego swoim, a kąpiąc duszę radośnie w téj jego swojskości, gotowiśmy mu nieraz chętnie wybaczyć nietylko to, że duchowy żołądek Francuza nie wszystkoby w dziełach jego strawił, lecz i własne swoje, przykre niekiedy wrażenia.

Wyznam jednakże, że miłość tę Dygasińskiego upatruję wcale nie w owych deklamacyjnych opisach natury, które zdają się niekiedy w kilku wierszach pięknemi i poetycznemi, dopóki jakiś zgrzyt wtrącającéj się niezręcznie refleksyi nie wskaże wyraźnie, że temperatura zachwytu nie była dość wysoka, by pierwiastki nie-poezyi stopić i ulotnić.

Tak np. w prześlicznym, choć poetycznie rozpoczętym ustępie o lasach nadnarwiańskich natrafiamy raptem na zdanie: „i oto widzę przed sobą reprezentantkę naszéj szpilkowéj roślinności, sosnę", któréj opis szczegółowo botaniczny idzie daléj.

W inném miejscu przyroda, masą figur poetyckich wysławiana, „budzi dzieci swoje do czynu szafirem, fioletem, purpurą, szkarłatem, światłem, nad które nie ma nic piękniejszego. Wstańcie i pracujcie, ludzie!"

Często opis sam przez się byłby dobry, obraz wyraźny, gdyby nie okrasa z przenośni nietrafnych. Tak np. w opisie czarów nocy „niebo sympatycznie chyli się ku ziemi, niby matka nad kolébką dzie-

http://rcin.org.pl

cięcia, kiedy zaś ziemia... strojna w brylanty rosy... mgłami owiana... wabi je ku sobie": dziecko matkę niby kochanka kokietuje.

A oto najbardziéj opracowana z tych „poezyi w prozie", poprzedzona pięknemi, aczkolwiek nieoryginalnemi rozumowaniami o znaczeniu miłości ziemi („Demon").

„Z temi myślami pozdrowiłem wspaniałą krainę. Ujrzałem przed sobą skałę, jak niebotyczny ołtarz, w wieńcu jodeł i świerków, w girlandach głogów i bluszczów — rzetelny pomnik wiekuistéj przyrody. U stóp jéj wyrastał buk rozłożysty, a przez ciemne jego liście lały się promienie jasnego słońca. W szczelinach skały ujrzałem gaiki drobnych krzewin, a w gaikach brzmiała elegijna piosnka ptaszęcia. Gaik taki maleńki, piosnka taka smutna, i przeto słuchaczowi smutno na ziemi. Przyrodo, jak ci łatwo kształcić ludzkie uczucia."

Niechby kto spróbował przeczytać ten ustęp bez podkréślonych wyrazów: czy mogłoby to nie sprawić miłego wrażenia? Ale autor filozofią swoją i poezyą skutecznie je zepsuć usiłuje. Po co np. pierwsze ze zdań podkréślonych, pretensyonalne, nic właściwie nie znaczące, a mącące wyraźność nietylko przenośni poprzedniéj („Ołtarz", „Pomnik"), ale i stosunku gramatycznego („U stóp jéj") zdań poprzedniego do następnego? A owa „elegijność" ptaszęca tuż po potędze pierwszego obrazu ze śmiesznym (jak dla mnie) zwrotem o słuchaczu!

W następnym zaraz kuplecie prozaicznym po nowym kawałku dobréj fotografii, tenże sam słuchacz, nie ruszywszy się nawet z miejsca, słyszy już, zapomniawszy zgoła o elegijności ptasiéj, „pieśni wieków zaczarowane w jaskiniach..." „Więc przestałem być smutnym — powiada — uczułem w sobie szczęście, że mi takiéj pieśni słuchać wolno." Pomimo to w dalszym ustępie ta sama ptaszyna znowu się pojawia: „wtórują jéj fale strumyka — bardy skał, co zasiadały (fale!) między łąk zielonemi brzegami. Modra niezapominajka zdami się być słuchaczem."

Daléj znów wśród innego widoku, Dygasiński „korzy się przed siłą, którą myśl jego podpatrzyła w skale"; jeszcze daléj wyraźnie już odsłania przyłbicę geologa, a całość kończy się mdłą deklamacyą.

Oczywiście to, com mówił o temperaturze zachwytów Dygasińskiego, tyczy się, jako pewnik, tylko chwili pisania, jeżeli zaś i samo odczuwanie bezpośrednie natury nie jest może tak namiętne, jakby nas o tém chciał sam pisarz przekonać, to bywa czasem ono niewątpliwie szczere i głębokie.

Kiedy w kilku prostych słowach maluje położenie jakiéjś nędz-

Fundacji im. J. I. Michalskich Ze zbiorów
http://rcin.org.pl

néj wioszczyny naszéj, widzimy ją jak na dłoni wśród ubogich niw. Gdyby się Dygasiński wysilił, mógłby w równie patetyczny sposób pisać o Alpach lub Kaukazie, jak i o skałach Ojcowa, ale tak niby nieumyślnie pokazać i dać odczuć czytelnikowi — potrafi on tylko nasze „sioła, pola i lasy". Prócz Małopolski rodzinnéj, dla niego nic chyba nie mogłoby być „piekniejse ani zdrowse nad Mazowse". Nie wzruszają mnie jego umyślnę zapały ku ziemi ojczystéj, ale każde mimochodem rzucone o niéj słowo jasno mi tłómaczy, że przy niéj za nic mu wszystkie cuda świata, że milszy mu ugór rodzinny, skąpą trawą i ostem porosy, od bogatych łanów Zachodu, tak jak ciemnota przesądna mazura czy krakowiaka czuléj mu do serca przemawia od geniuszów ras obcych. Jako artysta jest on — chcąc nie chąc — ślepy i głuchy na wszystko nieswoje. Będzie się tylko „dziwował" toniom mórz dalekich i lasom podzwrotnikowym, jak i doskonałościom charakteru innych narodów, ale serca mu to nie poruszy.

III.

Możeby wolno odmówić Dygasińskiemu nadzwyczajnego talentu, ale odrębność jego fizyognomii literackiéj trzeba przyznać. W książkach jego niewiele się znajdzie złego lub dobrego w sposób pospolity. Zarówno jędrna jego, dobroduszna rubaszność, jak i maniera przeplatania akcyi morałami, lub komentowania momentów psychicznych lub sytuacyi rozumowaniami z „Doboru płciowego" lub „Pochodzenia gatunków" — wszystko to jest jego własne. Nawet, kiedy mu się na czułość zbierze, nie będzie naśladował współczesnych cukierników krajowych ani zagranicznych, lecz wynajdzie sobie jakiś osobliwie naiwny sposób, jeden z tych, o których już cały świat od lat kilkudziesięciu zapomniał. Trzeba bowiem pamiętać, że w tém państwie zdrowego rozsądku i dobrego humoru uczuciowość bywa tylko naleciałością.

To téż skoro ów pisarz majorowego tonu rozmija się ze swojém usposobieniem, wszystko się przeciw niemu sprzysięga: myśl przewodnia kłóci się z akcyą, psychologia z sytuacyami — i w takich to wypadkach ucieka się on czasem do rozmaitych ceregieli romansowych.

„Lud i przyroda — powiada Dygasiński — nie znoszą sentymentalizmu, nie robią dla niego żadnych ustępstw. Woda i powietrze bezwzględnie każdego gotowe są ziębić, ogień parzy, w ziemi nie ma żad-

http://rcin.org.pl

nego serca, lud żyje twardo, walkę o byt bierze surowo. Szkoda, że poeci nie znajdują téj prawdy...“

Pomijając pytanie, czy nie przestaliby oni wtedy być poetami, powiem tylko, że ustęp ten wybornie charakteryzuje trzeźwość usposobień artystycznych tego pisarza i że ilekroć sam on w niepamięć ją puszcza, my na tém źle wychodzimy. Bo gdzie jeno idzie o melodyę lirycznie rzewną, gdzie ukaże się tonacya minorowa, harmonię niechybnie wnet zmąci jakiś fałsz niemiły. Pod wpływem takich natchnień nawet pełny zwykle jasności i prostoty styl Dygasińskiego potrafi stać się napuszonym lub ckliwym.

Zdaje mi się, że zdolność twórczą Dygasińskiego należałoby sobie wyobrażać jako maszynę, która funkcyonuje dobrze jedynie przy normalném, codziennem ciśnieniu uczucia, a niech tam parę atmosfer przybędzie lub ubędzie—robota zaraz się psuje. Komórki rozpłodowe jego wyobraźni tylko w umiarkowanie chłodnéj temperaturze żyją i tworzą życie prawdziwe.

Oto preparat z jednéj z pierwszych jego nowel. „Kult światła“ godzien uwagi jako reprezentant wszystkich wad pisarskich Dygasińskiego.

Pewnemu Niemcowi koloniście w połowie tego wieku gleba polska dała, prócz chleba, środki do wykształcenia syna na doktora filozofii. Syn ów już w jedenastym roku życia—pomimo braku styczności ze wszystkiém, co polskie i wbrew gorącemu patryotyzmowi niemieckiemu ojca — postanawia zostać nauczycielem w Polsce, gdzie, jak słyszy, taki brak szkół czuć się daje. Z chęci téj nie są go w stanie uleczyć ani wpływy szkoły niemieckiéj i towarzystwa, chociaż trudno zrozumiéć, jak mógł on nie zapomnieć języka polskiego, nawet gdyby się zrozumiało, jak się go nauczył. Po ukończeniu nauk młody Walner zostaje nauczycielem łaciny w Pińczowie, nauczycielem wyjątkowo złym, pomimo przedwstępnych zapewnień autora, że „miał on miłość zawodu we krwi“.

Podczas jednéj z wakacyjnych wycieczek naukowych na piechotę Walner, oszczekiwany uparcie, wiedziony, ciągniony za połę przez wiernego psa (jak to bywa pospolicie w anegdotkach o mądrości tych czworonogów) znajduje za wymarłą na cholerę wsią w krzewach i ukryciu chore dziecko chłopskie obok trupów ojca i matki. Oto, w jaki sposób pomaga autor przy téj okazyi czytelnikowi zachwycać się bohatérem.

„Cudowna przyroda z całym przepychem swoim nie poszczyci się ani jednym utworem piękniejszym nad wspaniałe zjawisko ludzkiego, żywo bijącego serca. Nie jest-że bowiem czysty, prawdziwy charak-

http://rcin.org.pl

ter, dzielny umysł, wzniosłe uczucie ostatniém dziełem sił w pracy natury? Blady, o wyszlachetnionych, miękkich rysach twarzy człowiek, z dobrocią widną na licach, z troską w oku, pochylony nad umierającém, biedném chłopskiém dzieckiém, obcém mu co do plemiennego pochodzenia, cichy, skromny, spokojnie posępny, jak anioł cnoty, — otoczony zewsząd trupami, ziejącemi jady zarazy śmiertelnéj... — Ocaliłem od śmierci dziecko i potrzebuję wraz z niém spoczynku—przemawia później W. do baby z wioski sąsiedniéj.

Scena wygnania idealnego Niemca ze wsi przez obawiających się zarazy mieszkańców (którzy jéj jakoś dotychczas uniknęli, chociaż sąsiedzi zza miedzy co do nogi wymarli) jest wyjątkowo niemiła, bo w celu rozczulenia nas najskuteczniejszego bohaterstwem Walnera. Dygasiński chłopów zbyt już suto uposażył w okrucieństwo bezmyślnie szydercze, nie zdobywszy się wcale na oddanie zwykłéj w takich razach grozy żywiołowéj. Zresztą autor zgóry już usiłuje usposobić nas jaknajgorzéj dla katów i jaknajlepiéj dla ofiary, bo, wiedząc zapewne, jak Walner zostanie przyjęty, przeprowadza go takiemi rozumowaniami. „Jakże przyjemnie człowiekowi zdążać do ludzi, miéć słodką nadzieję podzielenia się z nimi ciężkim trudem, usłyszenia dobrego słowa, uściśnienia ich poczciwych dłoni!"

Ale nie same tylko „tłumy gminne (!) z właściwą sobie opryskliwością" dają się we znaki Walnerowi. Całe towarzystwo pińczowskie zatruwa mu życie i zabija go ostatecznie — plotkami i prześladowaniami, które przekraczają wszelkie granice zawziętości, chociaż żaden interes rzeczywisty jéj nie podsyca. I upada pod brzemieniem niewdzięczności naszego społeczeństwa germański pioner „kultu światła" na Ponidziu, ginie gorzéj niż marnie, bo z patetyczną przemową do słońca—i swego wychowańca, — któréj nie śmiem powtórzyć ze względu na jéj rozwlekłość. Z tegoż powodu pomijam tuziny rezonowań filozoficzno-filologiczno-dydaktycznych zarówno autora, jak i bohatéra-gwebra, które melodramatyczną tę historyę aż do zbytku przeładowały.

Używając nowéj przenośni, powiem, że analiza strugi twórczości Dygasińskiego z każdym rokiem mniéj wykazuje mikrofitów owéj chęci jałowéj wyduszenia gwałtem łez z czytelnika; w utworach późniejszych rolę psucia ich biorą na siebie stopniowo rozradzające się aż do roku 95 mikroby chęci porwania i wywołania zachwytu. Należy też zanotować, że przemowy patetyczne stopniowo przeradzają się w zbyteczne często, ale naturalne w tonie — pospolitym lub humorystycznym—gawędy towarzyskie.

http://rcin.org.pl

Myliłby się jednak, ktoby przypuścił, że wady mogą zniknąć od razu. W piątym tomiku nowel napotykamy takie zakończenie sceny śmierci:

„I oto, wśród rozdzierającéj boleści żywych ukazały się na łożu martwe, blade zwłoki kobiéty, z których już uleciała arcypiękna dusza."

I tuż obok taką charakterystykę rozczulającą „Cioci Frani": „Była to żywa świątynia prawdy, miłości i poświęcenia. Na licu téj dziewicy piętnował się jakiś szczególny gatunek wdzięku. Kto na twarz jéj spojrzał, doznawał ukojenia od pogody, rozlanéj po licach— od uśmiechu, który wzywał do miłości, — od wzroku pełnego dobroci, a zarazem powagi i inteligencyi."

Miejsce tu na następującą uwagę. Skłonność do przeplatania nawet szczerych spostrzeżeń swych artystyczno-naturalistycznych komentarzami oderwanemi, skłonność, zdawałoby się stanowczo ujemna, doprowadziła jednak Dygasińskiego do wynalezienia osobliwéj maniery, któréj próbkami najdoskonalszemi i stanowczo dodatniemi są nowele: „Dramata podwórzowe" i „Wilk, psy i ludzie". Ta ostatnia (jedna z najwcześniejszych tego autora) jestto coś, niedającego się podciągnąć pod żadną formułę twórczości artystycznéj chociażby dlatego, że głównie myśl ma na względzie. Pogadanka to, w formę wspomnień osobistych ujęta, w któréj każdemu ruchowi akcyi towarzyszą dość prawdopodobne skojarzenia myślowe w duszy opowiadającego, przerzucające się od czynów wilczych i psich do uczuć ludzkich i skarbów rzekomych naszéj etyki, filozofii i społeczeństwa. Trafność tych uwag obok naturalności zarówno w biegu wypadków, jak i myśli, jakaś odpowiedniość wzajemna formy, stylu i treści — czynią z tego rzecz zupełnie harmonijną i ciekawą, aczkolwiek tylko dla umysłu.

IV.

Nie będę się zatrzymywał nad balastem jałowym, którego do zbytku mamy w literaturze pięknéj Dygasińskiego, zanim jednak przejdę do tego, co stanowi istotną jego zasługę pisarską, skończę z najgorszym i stanowczo ujemnym jego utworem innego trochę rodzaju. Chcę mówić o zamieszczonéj w ostatnim z wydanych przez Dygasińskiego zbiorku nowel istnéj parodyi poematu, zatytułowanéj „On i Psyche".

„Jeśli mnie nie zrozumieją, poprzestanę na tém, że sam siebie rozumiem"—powiada autor, głęboko widać przekonany, iż stworzył coś

http://rcin.org.pl

nadzwyczaj oryginalnego i wzniosłego. W istocie zaś rzecz to jest, aczkolwiek zrozumiała, ale w całém znaczeniu tego wyrazu niezwykła. Nie myśl jednak przewodnia, zarówno pospolita w nauce, jak i w sztuce, niezwykłość tę stanowi; nie styl, bo napuszoność i bombastyczność nie „On z Psyche" wynaleźli, lecz kombinacya jednego z drugiém.

Ideą tego poematu jest ściśle naturalistyczny pogląd na miłość: jakkolwiek obełgiwacie się nawzajem ideałami, marzeniami, ubóstwieniami i poświęceniami,—wiedźcie, kochankowie, że blaguje tak w was przyroda, że skoro tylko los da wam okazyą do zaspokojenia żądzy fizycznéj, wszystkie faramuszki duchowo-świetlane znikną bez śladu, jak dzień po zachodzie słońca, najidealniejsza bowiem miłość ludzka niczém się w gruncie rzeczy nie różni od peryodu zapałów téj lub owéj pary zwierząt: tylko ceregieli więcéj.

Otóż, jak wiadomo, niejeden już uczony, z pretensyami mniejszeszemi lub większemi do filozofii, ująć próbował miłość w kleszcze praw natury materyalnéj; niejeden téż poeta wydrwił ją bezlitośnie, szermując oczywiście właściwym sobie orężem. Ale Dygasiński chce być poetą praw organicznych.

W ironii Byrona lub Heinego czujemy wyraźnie ideał, marzenie namiętne o „kochaniu wieczystém", żal do siebie i natury, że w niéj „uniesienie z trwaniem" pogodzić się nie da. Poezya w takim jest właśnie stosunku do logiki naukowéj, jak geometrya wielowymiarowa do Euklidesowéj, to téż zagłębiając się naprawdę w życie, każdy poeta wyczuje w niém ów pierwiastek mistyczny, który się da *zakląć* w słowa czarodziejskie, lecz nigdy *zamknąć* w formułki nazimno obrachowane. Gdzie tylko w Zoli nawet bierze górę artysta, nikną dla czytelnika jego poglądy teoretyczne na świat i życie, na naukę i sztukę, ale dla Dygasińskiego nie ma zapału, któryby z ręki wytrącić potrafił narzędzia pozytywizmu, traktowane przezeń właśnie jako środek propedeutyczny wielkiéj poezyi.

Któż nie pamięta wspaniałych kartek owego najczęściéj chyba po salonach cytowanego filozofa. Pesymistyczny pogląd na miłość wprawia go w istną furyę poetycką. Z jakąż nienawiścią i wzgardą miota się on na to uczucie, którego źródło zdaje mu się wstrętném, cel potwornym, a skutki okropnemi. Rzekomy pesymizm Dygasińskiego zupełnie inaczéj wygląda. Widzi on błoto, ale godzi się z niém dobrodusznie, godzi się nie filozoficznie, lecz zupełnie jakoś inaczej.

Zanim przystąpimy do analizy tego rozdziału z „Doboru płciowego", przetransponowanego na styl niemniéj patetyczny od wstępu do „Komedyi Nieboskiéj", zanotuję, iż dla lepszego uwydatnienia praw

http://rcin.org.pl

i zasad, tych istotnych bohatérów téj pieśni prozaicznéj, oderwano ją zupełnie od życia rzeczywistego, co już nawet same imiona osób działających dają do zrozumienia.

Prawda psychologiczna tak się tu przedstawia. „On" w pierwszym rozdziale („Ubóstwienie") „spotkał anioła-kobiétę i powiedział sobie: kocham ją — gdyż nie sądził, ażeby na świecie było coś godniejsze jego miłości", z czego widać, że dla napuszenia stylu „niesądzenie" może ujść za racyą kochania. Widmo jéj na jawie przyszło raz ku niemu: „ciepło lic jéj czuł z oddalenia." Przy spotkaniu mówił on do niéj tak, „pieszcząc jéj piękną rączkę: „Uczucia ludzkie mają swój rozwój i w ich przebiegu bywają wielkie chwile szału. Żar w sobie jakiś uczuwam" i t. d. Ona zaś, wyrwawszy się z objęć, tak mu na to odpowiada zdaleka. „Głos przyrody wiedzie do wyzwolenia z pęt ideału, a przytém gotuje ruinę istotnego szczęścia, upadek." Rozmówiwszy się tak dokumentnie „On" postanawia „wedrzéć się w przyrodę swoją tęsknotą, smutkiem, pożądaniem — dalszym ciągiem swojéj kochanki." Na poczekaniu zaś buduje dla niéj nowe światy „w chwilach uroczystych, w których pierś jego jest natchnień pełna" i daje przy okazyi czytelnikowi do zrozumienia, iż człowiek może ubóstwiać jakąś istotę niekoniecznie dla jéj doskonałości, lecz z powodu potrzeby wewnętrznéj, która może „przelać czyjeś piękno ducha w idealny obraz przedmiotu zmysłowego."

W rozdziale następnym („Urzeczywistnienie"), zmierzając do celu, mówi on do niéj tysiące rzeczy, które autorowi wydawały się zapewne prześlicznemi, jak np. „Psyche moja, przysuń się do mnie bliżéj, życie dokona reszty!..." „Wielkie prawa przyrody wypiętnowały się w umyśle i sercu człowieka, a obok nich podrzędnie tylko istnieją znikome, drobne i zmienne prawa społeczne..." Ale darmo tłómaczy mu ona, że „przyroda milczy, kiedy ludzie tworzą niedolę bliźniego"; zalewa on ją wodą swoich okropnych frazesów, zaklinając się na wszelkie sposoby i w przysięgach swych „kładąc nacisk szczególniéj na wieczność i nieśmiertelność (miłości), co zdawało się ją bardzo zobowiązywać." „Serdecznie umiłowane bóstwo moje, na ołtarzu którego spalam oddawna najdroższe swe uczucia... — przemawia on do niéj. — Spraw, aby mi czoło twe promień jasności zesłało, aby cudne blaski twych oczu z pociechą do mnie spływały, abym dotknięcie twéj rączki poczuł!... Przebacz mi, Psyche, że w czci dla ciebie jestem zmysłowy; ale czyż w zmysłach nie ma duszy?" To skłoniło ją, że „się czepiła jego ramienia... ręka jéj czasem mimowolnie uściskiem *dank* składała męskiéj dłoni. Ta rączka śliczna... miała cudowny kształt, białość alabastru,

http://rcin.org.pl

miękkość puchu, gładkość aksamitu i delikatność lilii, z których (z lilii) zdały się płynąć lube ognie, co go nawskroś przenikały.

Daléj rozwlekłą już i bez tego parafrazę Mickiewiczowskiego: „serca nasze, jak w czystym widzieliśmy stoku" „On" tak rozwałkowuje (od punktu do punktu): „Widocznie jest potrzeba wzajemnego odczuwania się wiedzy o tém, co które z nas pragnie, aby dla drugiego istniało."

Pewnego razu o zmroku znaleźli się kochankowie w ustroniu. „Tutaj pochwycił w dłonie obie jéj cudne rączki, uklęknął przed nią i jakby łaknący człowiek..." „Rączki jéj jednak nie dały łaknącemu ukojenia głodu. Jakieś drżenia lube, prądy niepojęte..." „Zmienili położenie, co jest zwyczajem w miłości." Wreszcie „On stał się jakgdyby rozszalałym wulkanem, którego ognistéj potędze nic się oprzéć nie zdoła" i... *consummatum est.*

Teraz dopiéro zaczyna się „Rozczarowanie" jego, chociaż — prócz fizyczno-wewnętrznych — żadnych przyczyn tego nie widzimy. Psyche bowiem, któréj mądrości mieliśmy już próbki, ma być idealnie kochająca, czuła, delikatna i szlachetna. Życzy sobie jednak autor widocznie, byśmy mu uwierzyli na słowo, że inaczéj stać się nie mogło. Otóż „On", każąc się jéj obecnie „trzeźwo zapatrywać na sprawy uczucia", „z dniem każdym bardziéj ją zaniedbuje, lekceważy i opuszcza"; kiedy zaś ona „nie chce być naprzemiany aniołem i fraszką" od zachceń zależną", lecz pragnie praw człowieka, „On" odpowiada „z przekąsem: łatwiéj jest zrobić z kobiéty anioła, niż jéj dać prawa."

Oburzony wreszcie wyrzutami postanawia „uwolnić się z niewoli", bo „spraw wyższego rzędu, ogólniejszych, nie wypada poświęcać dla osobistych, małych, samolubnych, — i zaczyna umizgać się do innéj. „Psyche — mawia coraz częściéj — muszę cię pożegnać, gdyż mnie przyjaciel oczekuje w pewnéj bardzo ważnéj sprawie." „Dowiédz się" — powiada on innym razem—„że jeśli sułtanka chce utrzymać serce tego, kogo kocha, to już nie płaczem, nie wybuchami gniewu i zazdrości." Nakoniec ona sama — kochając i w rozpaczy — uwalnia go od siebie i zostaje „W opuszczeniu", który to czwarty rozdział opisuje zgryzoty jéj, a nawet wyrzuty sumienia. Żyjąc wtedy tylko wspomnieniami, upaja się takiemi np. urywkami korespondencyi dawnéj, z których dla niéj czysta poezya wionie: „Kocham cię tak, jakgdyby już nic godniejszego miłości nie było na świecie, kocham cię bardziéj nawet" (t. j. bardziéj, niż „jakgdyby już nic" i t. d.). Figura ta, jak widzimy, tak się samemu autorowi podoba, że

http://rcin.org.pl

ją podwakroć powtarza. Ostatecznie „Psyche odzyskała spokój duszy i dawną świetność przyblakłych nieco za czas miłości i męki wdzięków—i w półroku po rozstaniu się wyszła zamąż za innego.

Z rozdziału ostatniego dowiadujemy się, że cała ta historya, niezależnie od swego charakteru ogólno-zasadniczego, opartego na „prawach przyrody", jest rodzajem pudełka z niespodzianką, którą też i ja zachowałem nakoniec. Otóż ten egoista bezduszny, marny z punktu widzenia nietylko etycznego, lecz i poetycznego, jest... artystą, który, choć zupełnie szczery niby w téj „setnéj" z kolei miłości, dokonywał zarazem w ten sposób wiwisekcyi na kochance, zbiérając materyał do „Romansu doświadczalnego", który też Dygasiński za niego napisał.

Jestto więc, jak widzimy, idealnie trywialne rozwałkowanie tematu, tak cudnie wyczerpanego przez Żmichowską i tak wspaniale traktowanego przez tylu innych (np. Poeta z „L'âme à nu" Haraucourt'a): zastąpił tylko Dygasiński pierwiastek poezyi pierwiastkiem pozytywności w kostyumie maskaradowym, a demoniczność owych genialnie potwornych istot, gotowych zawsze cudze łzy i krew przerabiać na piękno,—stała się u niego płaską nędzą duchową.

Należy się jeszcze parę słów stronie etyczno-praktycznéj tego poematu. „Idź w świat szeroki — doradza dobrodusznie i poczciwie Dygasiński przez usta swego bohatera — ucz się, kochaj, a nie małodusznie." Przykazanie to z katechizmu „Don Juana" i to oczywiście jako poszukiwacza cynicznego coraz nowych rozkoszy zmysłowych, nie zaś poszukiwacza ideału niewieściego. Kobiéta w dziełach Dygasińskiego, zgodnie z takim poglądem, służy wyłącznie ku wygodzie fizycznéj mężczyzny, i głupim się zawsze okazuje u niego ten, kto pragnie uwzględnić jéj duszę, jéj „prawa człowieka".

Jeżeli się nie bawisz tylko ciałem kobiéty—mówią dzieła Dygasińskiego — czeka cię niechybna niewola moralna, skarłowacenie ducha, spodlenie. To też użyj przyjemności, ile możesz, ale nie zawahaj się kopnąć nogą bóstwa wczorajszego: dyabli go nie wezmą! Najbardziéj bowiem kochająca, najwierniejsza, najlepsza nawet (patrz „Psyche") kobiéta, rzucona przez ciebie w przepaść, jak kot stanie na nogi i znajdzie sobie innego.

V.

Domyśla się czytelnik, że gdyby Dygasiński był autorem takich tylko dzieł, jak wspomniane wyżéj, nie byłby z pewnością narażony na podobne ich ogólne analizy. Jeżeliśmy się nad temi płodami tak długo zatrzymali, to głównie w celu wykazania, do jakich rezultatów

http://rcin.org.pl

może dojść rzetelny talent na zagonie nieodpowiednim odpowiedniego nawet pola. Utworów w rodzaju i stylu ostatniego znaleźlibyśmy jeszcze parę (np. „W niewoli u dzikich" (spowiedź),—ale dość już tego. Pora przedstawić to, co dało mi właśnie pochop do opracowania krytycznego całości plonów pisarskich Dygasińskiego.

Oddzieliwszy plewy od ziarna, rozsegregowałbym utwory tego pisarza stosownie do roli, jaką odgrywają w tém państwie zdrowego rozsądku i dobrego humoru ci dwaj jego władcy względem wyobraźni, owego niezbędnego pierwiastku wszelkiéj twórczości.

Otóż zdarza się rozmaicie. Często zdrowy rozsądek każe wyobraźni tańczyć tak, jak tego wymagają zgóry już obmyślane tłómaczenia jéj skoków, dzięki znów czemu należycie już wytresowana wyobraźnia, niby sama przez się, zdaje się niekiedy odgadywać życzenia pana. Czasem znów wyobraźnia, przez drugiego władcę natchniona, tak się przystroi w barwy i dźwięki rzeczywistości, że pierwszy, uspokojony pospolitością prawdy namacalnéj niemal, zapomina nawet zgoła o sensie moralnym, którego dawkami, mniéj lub więcéj nieumiarkowanemi, ma on wogóle zwyczaj szpikować bajkę. W takich to chwilach powstają owe świetne, Steena przypominające nierzadko, sceny rodzajowe z bytu chłopskiego, drgające życiem zwierzęco zdrowém i jędrném, lub nawet prawdziwe dramaty zwierzęce, nie zawsze ustępujące pierwszym pod względem wartości artystycznéj: w takich to właśnie chwilach Dygasiński „bawi się" szczerze.

Zresztą zawsze i wszędzie wyobraźnia, jako sługa więcéj niż dobra, umié się stosować do wymagań obu swych panów, którzy coprawda łatwiejsi są do pogodzenia, aniżeli Bóg i mamona. Rezonowania zdrowego rozsądku bywają najczęściéj przesiąknięte humorem, ten zaś nigdy nie przekracza pola widzenia pierwszego, posuwającego znów z kolei uprzejmość dla brata tak daleko, że pozwala mu przyozdabiać po swojemu nawet poddane przez życie samo, a smutne z natury swéj momenty.

Talent Dygasińskiego, niezręcznie stąpający po salonach wywoskowanych, niech tylko przemówi gwarą chłopską, a wnet zarysowują się przed naszemi oczyma postaci dziwnie wyraźne w swéj prostocie. Styl jego z pospolitego staje się wnet charakterystycznym, a indywidualności jawią się przed nami, niby żywe. Czy to chodzi o wesele lub pogrzéb, o bójkę karczemną lnb sprzeczkę rodzinną—widzimy, jak w rzeczywistości, sceny i ludzi, a wszystko pełne dla nas żywego interesu pomimo największéj nawet błahości fabuły. Nie dosyć bowiem na tém, że pełnym świéżości jędrnéj i mocy językiem ludowym włada

http://rcin.org.pl

Dygasiński nieporównanie; zna on jeszcze przytém niemniéj znakomicie byt chłopski.

I przyznać trzeba, że Dygasiński prędko znalazł swój rodzaj, bo już w jednym z pierwszych jego zbiorków napotykamy parę takich arcydziełek. W noweli np. „O groch przy drodze" mamy obraz sceny małżeńskiéj. Żona czyni mężowi wyrzuty za posianie grochu „wele drogi". Stąd sprzeczka, w któréj baba występuje znów w obronie „świątków", obrażanych oczywiście czapą na głowie chłopa. Zrzuconą pomiotłem magierę „świńskie dziecko", bawiąc się wytacza na podwórze, kiedy tymczasem chłop nadaremnie szturmuje do komory, w któréj się kobiéta ufortyfikowała. Po zawarciu pokoju między stronami wojującemi w celu odnalezienia wspólnemi siłami magiery, któréj chłop sam darmo szukał w izbie; po uproszeniu wreszcie przezeń, z porady żoninéj, łaski św. Jantoniego, najpoważniejszego snać z owych świątków spostponowanych przed chwilą—zguba odnajduje się w gnojówce.

Ile w tych ciasnych ramach wyrażeń trafnych, ile rysów z natury pochwyconych! Jaką to całość harmonijną stanowi! Ile tu humoru i to w doskonałym gatunku, bo w saméj prawdzie psychologicznéj tkwiącego! Zapewne, po prawdę tę niezbyt głęboko do duszy chłopskiéj zstępował pisarz, ale wdzięczność mu się należy i za ten tak naturalnie odmalowany wybuch śmiechu.

Pozwolę sobie przytoczyć tu parę frazesów, świadczących zarówno o języku, jak i o duchu téj noweli. Oto np. jak stawia się Łuka wobec żony i jéj sprzymierzeńców ze ścian: „świątków ze ścian, wody święconéj i krédy na Trzy króle żegnanéj."

— Przed świętościami tabym się pokłonił, ale skoro ty, beskurcyo, dopiekasz, ja ci mam za to jeszcze czapkować?"

Lub jak znamienna jest ta uwaga sceptyczna chłopa, kończąca scenę:

— Czyś ty tylko, psiakość Kaśka, nie miała téj czapki pod zapaską i nie sygnęła jéj w gnojówkę?

Inna nowela z tego samego zbiorku, o szerszym już zakresie, głębiéj trochę wnikająca w byt włościan, a jedna z najlepszych w swoim rodzaju, szczególnie dobrze wytłómaczy ową majorowość nastroju Dygasińskiego.

„Ze wsi do wsi" rozpoczyna się od śmierci i pogrzebu kobiéty, któréj mąż, utraciwszy poprzednio w ciągu pięciu lat czworo dzieci, zostaje nareszcie w chałupie sam ze starą tylko matką; pomimo taki jednak temat całość noweli ani smuci, ani przygnębia. Rzeźkie i trzeźwe usposobienie autora nie pozwala bohatérom trwonić czasu i sił na jałowe zatruwanie się bólem serdecznym, rychło łzy im z oczu ociéra

http://rcin.org.pl

i nakazuje przejść nad smutkami do porządku dziennego, przenosząc środek ciężkości ich życia na jakieś okoliczności powszednio obojętne, lub nawet wesoło charakterystyczne. Wreszcie w samém przedstawieniu rzeczy, uchodzących wogóle za smutnie tragiczne, potrafi on zwrócić uwagę na tyle rysów o charakterze zgoła odmiennym, że jeśli nie wywoła śmiechu zamiast łez, to w razie najlepszym bardziéj nas uderzy w opisie jego surowa prawda życia, niż wzruszy sytuacya.

Z gruntu poczciwego i sympatycznego w głupocie swéj Nikodema Dudę pogrzeby do karczmy wciąż zapędzają ostatniemi czasy: „rzadko kiedy siedział on w chałupie, bo mu obrzydła śmierć i stękanie żony." Pomimo to zajmuje się on szczerze zdrowiem Maryny, ale cóż począć, kiedy nie pomogło ani smarowanie gorącą wódką z zajęczym skromem, ani pijanie naczczo gorzałki z psiém sadłem: dopiéro puszczenie krwi obfite poskutkowało, kończąc męki choréj.

— Niech ta śpi, nie budźcie jéj, matusiu — mówi Nikodem nazajutrz rano—tyle nocy przestękała w cierpości, to odespać musi. Widno się jéj niebodze zlepszyło.

— Byłoby jéj jeszcze lepiéj, kiejby zażyła ciepłego: zwarzę jéj a to kaszy z omastą.

— Dzisz ty, Nikodem — woła w godzinę potém staruszka do syna—Maryna się nie rusza!... Nikiej ryba śnięta.

— Dyć jéj się wczora zlepszyło—mruknął Duda.

— Ano wiedziałam, tylo tera ani drygnie... Nikiej trupek do pochowku.

— Co wy pedacie, matusiu... Poterpajcie ją ino za nogę, to się ocuci.

— Ni na co się zdało!... — zawołała stara. — Dał jéj Pan Jezus śmierć cichuśką, kieby dzieciąteczku.

Potém stara postawiła na ziemi rynkę z kaszą i poczęła głośno krzyczéć:

— Oj, ożeniłam cię téż synku, ożeniła! Niś wiana nie dostał nijakiego, niś się z dzieciny pociechy doczekał!... Oj, cóż ty poczniesz w takowéj mizerności! Stérałeś i siebie i gospodarstwo na lékowanie kobiéty!... O, oj, oj!

Chłop rzuca się do żony, a przekonawszy się, że to śmierć, powiada, ociérając oczy rękawem:

— Za cóż ją téż pochowam, chudziak, kiej poszło syćko na nic! Sieląga nie mam przy dusy.

— Łatwiéj ci ją było—mówi potém—Panu Jezusowi zabrać, niżeli mnie pochować.

http://rcin.org.pl

Ten zwrot w słowach matki i syna do życia z jego interesami i wymaganiami praktycznemi, ta zgoda z faktem dokonanym—wszystko to bardziéj zastanawia, aniżeli przeraża lub smuci. Wogóle nie indywidua lub sytuacye duszę komu u Dygasińskiego zasępią, lecz chyba refleksye własne o nędzy duchowéj ludu, tak rozpaczliwie wyzierającéj z po za humoru pisarza.

Po owym kulminacyjnym punkcie rzewności w opowiadaniu, kwestya znalezienia środków na pochówek spycha zupełnie prawie na drugi plan śmierć samą. Pożyczyć niepodobna, jedyny dłużnik oddać nie chce, trzeba więc świnkę sprzedać: szereg to scen rodzajowych, odrazu na inne tory myśl i uczucie czytelnika pociągających.

— Odsypiacie dzionek — odzywa się np. Duda do przyjaciela, którego po wielu wysiłkach udało się wreszcie dobudzić.

— Uaaa!—ziéwnął Bartek. — Zmora mię ano przycupiła dzisiak w nocy i tak ścieczona wygnietła iże bebechów ani krzty nie czuję we wnętrzu.

— Gorse na mnie licho naszło w nocy—westchnął Duda. — Nie mielibyście wy, Bartku, jakuchnéj rady?

— Cóże was takiego potkało?

— A dyć Maryna moja uświerkła chudziątko. Nie słychaliście to jesce?

— Taj w babie duch się ledwie telepał. Nijakiego pożytku z takiego życia, co się ochwierutało.

— Sprawiedliwie gadacie; inoby się patrzyło obmyśléć pochowek, i bez tom do was przyszedł.

— A czy to nie wiecie sami, jako uczynić?... Polećcie do Poradowa i kazujcie zbić trumienkę; to jest najpierwsze... Potém dopiéro podpiszecie na plebanii...

— Dobrze wam mówić, tylo co ja przemogłem się i wczora ostatnie sześć czeskich ochfiarowałem temu ze Skrobocic, co krwi upuszcza.

— Taże wiem, bo sobaca i mojéj babie łeb zawrócił, iże z dziewuchom obie kazowały sobie po półkwarciu upuścić. Może ta i na zdrowie poszło, bo tak z nich sikało, aże do powały.

Samo przehandlowanie świnki jest niegorsze. Ów niby dobroduszny karczmarz-mieszczanin, wyzyskujący nieszczęście chłopa, usiłujący nawet na krzywdę jego towarzysza i przyjaciela podkupić—odrazu samym komizmem wymowy swéj „kuldońskiéj" i chytrości nadaje barwę scenie, w któréj frazes każdy jest doskonałością w swoim rodzaju.

Rozmowy dwóch przyjaciół podczas pogrzebu i po nim o marności życia, o obyczajach pogrzebowych są téż znakomite, lecz wszystko

http://rcin.org.pl

razem wzięte — to tylko wstęp do opowieści właściwéj. Prawdziwym wątkiem noweli jest przeniesienie przez Bartka z Nikodemem świątka „Ze wsi do wsi", t. j. z pod bogatego Poradowa pod ubogie Samborze. Urąganie w karczmie (po pogrzebie rodziny) chłopów poradowskich Samborzu wywołuje sprzeczkę i zakład pomiędzy nimi a Bartkiem, że na Samborzu do rana stanie figura: to jest powodem do imprezy. Samo to przeniesienie, gawędy w Poradowie o cudzie, sądy o nim sołtysowe, scena z tego powodu małżeńska w karczmie, wyrzuty sumienia Nikodema, czującego się winnym „świętokrajstwa", wreszcie próba nieszczęśliwa odkradzenia świątka przez pohańbionych poradowian — oto treść drugiéj połowy, szereg obrazów wspaniale humorystycznych dzikości i ciemnoty ludu naszego.

Dałoby się naliczyć jeszcze kilka nowel tegoż rodzaju i ducha, nieustępujących téj pod względem artystycznym. „Na zwłokach zwierzęcia" — to walka ludzi dorosłych, dziecka i psów o padlinę krowy, walka, która wydałaby się potworną, gdyby nie wyglądała tak zabawnie; „Żérty chłop" to studyum biédaka poczciwego o zbyt wielkim apetycie, który go naraża kolejno na wyrzuty żony, na pośmiewisko i wzgardę ludzką i na śmierć nagłą nareszcie; „Beldonek" — to „ucieszne przygody" jednego z najdoskonalszych typów D., przebiegłego „dziada Florka z chłopcem w drodze do Częstochowy"; „Na ziemi i w niebie" — jeszcze bardziéj ucieszny wizerunek ciemnoty przesądnéj ludu. To są rzeczy, które położyłbym na pierwszém miejscu w wyborze nowel Dygasińskiego, jako stanowiące całości najbardziéj harmonijne.

To utwory pisarza o temperamencie humorysty i wyobraźni naturalisty. Nie szaleją tu nigdzie namiętności indywidualne: działają tylko siły przyrody. Wyobraźnia nie sięga poza granice fizyologii, ale w tym zakresie jest, jak u siebie w domu, co krok składa dowody niezwykłéj spostrzegawczości i przenikliwości autora. Nic tu nie obudzi zapału, ale każdy niemal ustęp zelektryzuje uwagę czytelnika, utkwi w pamięci. Do najlepszych téż pod względem bytowym zaliczyćby można jeszcze nowele „Złodzieje", „Złodziéj leśny" i „O krowę." „Jarmark na św. Onufry", wyborny miejscami, zakrawa znów gdzieniegdzie na farsę, nie rachującą się gwoli komiki z prawdopodobieństwem. Policyant przykłada tam np. podczas jarmarku na ulicy miasteczka ucho do ziemi, nasłuchując, czy gubernator nie nadjeżdża. Daléj, prócz przesady karykaturalnéj psują nowelę tę niezręcznie wklejane wykłady popularno-naukowe.

http://rcin.org.pl

VI.

Na uwagę nie o wiele też mniejszą zasługują zwierzęta w utworach D., gdzie występują one czasem w rolach drugorzędnych, ale niekiedy i w bohaterskich, chociaż prawie zawsze na tle stosunków z ludźmi. „Lis", „W górze i u dołu", „Kwiatek", „Targaj" — cały to szereg scen wybornych z powszechnéj tragikomedyi zwierzęco ludzkiéj, cała galerya typów czworonogich i dwunogich z pierzem i bez pierza.

Epopeje czy romanse zwierzęce D., na miano utworów artystycznych zasługujące, nie mają nic wspólnego z bajkami—ludowemi lub nieludowemi—zajmują się bowiem zwierzęciem lub ptakiem bez względu na morał dla ludzi, nie narzucając mu ani warunków życia, ani psychologii ludzkiéj (pod tym względem D. czyni odwrotnie), ani nawet języka ludzkiego: stąd zbliżenie do historyi naturalnéj. Od opisów jednak właściwych téjże różnią się opisy D. tém, że pierwsze mają zawsze na względzie rodzaj i jego zwyczaje, drugie zaś indywidua i ich losy i dusze. Zapewne, są i u D. znakomite opisy (np. jastrzębia „W puszczy") przypominające nadzwyczajnie Wodzickiego, jak mamy też pomiędzy jego nowelami „Autobiografię osła", wyglądającą na naśladowanie nieudolne powiastki tegoż tytułu z „Biblioteque rose", nawet dla dzieci dziesięcioletnich zbyt naiwne, — ale są to tylko wyjątki.

Jak wiadomo materyałem do charakterystyki ogólnéj całego gatunku muszą być oczywiście spostrzeżenia nad osobnikami. U Brehm'a chociażby co krok spotykamy takie studya nad okazami rozmaitych gatunków. Otóż od takich nawet opisów różnią się nowele D. przedewszystkiém tak, jak rysunek od fotografii. U D. znać wszędzie grę wyobraźni, kombinującéj losy danego indywiduum z życiem otoczenia, dzięki czemu czytelnik musi się interesować bardziéj tém, co ono robi, co się z niém dzieje, wreszcie charakterem jego, jako osobnika, aniżeli jego typowością, jako przedstawiciela gatunku: inaczéj mówiąc, budzi się tu interes artystycznéj bardziéj, niż naukowéj natury. Wreszcie najciekawsze typy zwierzęce D. są to istoty zdemoralizowane czy też oswojone, przez człowieka, który na ich charakterze położył piętno swojéj zbiorowéj zmienności. U D. znajdujemy np. nie psa naturalnego, psa prototyp., występują tu psy rycerskie tchórzliwe, zacięte łagodne, szczere i chytre, wesołe i ponure, łańcuchowe i swobodne, pańskie i chłopskie. Widzimy tu pewien stopień zrócznikowania się ducha przez przystosowanie się do sztucznych i niestałych stosun-

http://rcin.org.pl

ków, wytwarzanych przez władcze otoczenie ludzkie, stopień zróżniczkowania się, aczkolwiek nader mało złożony, ale już występujący z granic właściwéj historyi naturalnéj.

Od powiastek znów o zwierzętach, w które tak obfitują literatury europejskie dla dzieci, różnią się utwory D. brakiem konwencyonalności, surowym realizmem i zupełną zgodnością z nauką ścisłą. W każdym zaś razie w naszém piśmiennictwie oryginalność D. jest tak samo niewątpliwą pod tym względem, jak i pod względem sposobu traktowania tematów ludowych.

Doskonale charakteryzuje tę stronę twórczości D. nowela „W górze i u dołu." Pyszne są typy tych dwóch psich przyjaciół, Tyrana, buldoga z pałacu, i Łaty, kundla z chaty wiejskiéj. Ów Łata, pomimo najweselszego temperamentu, najpoczciwszy stróż domu, inicyator zwykły wszelkich generalnych oszczekiwań wiejskich, pełny szacunku dla sukmany a nieufności dla obleczeń żydowskich i pańskich,—traci zawsze na fantazyi i przycicha na odgłos szczekania tubalnego z pod pałacu. Na widok towarzyszącego baronowi potwora psiego z podgardlem obwisłém i zębami wyszczerzonemi kojarzy on wnet ów głos straszny z ujrzaną jeszcze straszniejszą postacią. Ale przerażenie pierwszego spotkania zmienia się stopniowo w duszy Łaty na ufność i życzliwość nawet dla ociężałego Tyrana, który konającego ze strachu, nagle z drzémki wyrwanego kundla na zwykły psi sposób, aczkolwiek ze srogą miną powitał; który nawet w obronie swego pana owych kłów wiecznie obnażonych nie użył. Wybornie odtworzone jest przejście od znajomości przypadkowéj do przyjaźni. Arystokrata zaczyna zbiegać codzień ku plebejuszowi „na dół" z pałaców sterczących dumnie. Harce po borach i polach, oczywiście bez względu na rodzaj dojrzéwającego na nich zboża, urozmaicają ataki na rozmaite zwierzęta domowe. Wreszcie rozzłoszczeni włościanie, przydybawszy przyjaciół na niemiłosiernem szarpaniu trzody, zabijają drągami rozżartego buldoga. Darmo czeka nazajutrz Łata, któremu udało się umknąć w porę z miejsca katastrofy i późniéj tylko okrutną karą cielesną opłacić swoję lekkomyślność. Stęskniony kundel decyduje się nareszcie udać się ku pałacowi na poszukiwania. Dostrzegłszy poturbowanego niegdyś przez siebie barona, któremu ongi Tyran towarzyszył niezmiennie, łazi on za nim po ogrodzie, dociéra, nawet strach przemagając, aż pod pałac, gdzie go z rozkazu pana któryś ze sług strzałem na miejscu kładzie.

Oczywiście zaledwo warto dodać, że analiza duchowa w tego rodzaju utworach D. wydaje się nam tak świetną nie dlatego, że jest głębszą i subtelniejszą, aniżeli analiza analogiczna ludzi tegoż pisarza. Wrażenia nasze tłumaczą się wyłącznie tém, że chodzi tu o dusze two-

http://rcin.org.pl

rów, które za bezduszne zwykliśmy uważać, któremi tylko w sferze interesu materyalnego lub sympatyi bezpośredniéj zwykliśmy się zajmować. To też zjawienie się ich w sferze bezinteresowności naszéj bezwzględnéj robi wrażenie niezwykłości, na którego tle owo zajęcie nas duchownością i losami tych istot „niemówiących" wytwarza w nas iluzyą jakiéjś bezdenności przenikania w rzeczy. Tymczasem tego właśnie u D. nie ma wcale. Prawdy namacalnéj znajdziemy u niego dużo, ale po za nią—nic.

O stopniu artyzmu, o stopniu jego wzruszalności stanowi nie przedmiot odmalowany, tylko stan duchowy tego, który malował. Widz wyczuwa nieświadomie to wytężenie się, że tak powiem, wzroku duszy artysty, to przenikanie głębin i mroków, ukrytych za powierzchownemi tonami i barwami, — i zaraża się poprostu psychicznie tym najcudowniejszym rodzajem drugiego wzroku. Otóż przeanalizowawszy i tę kategoryą dzieł D. przyjdziemy do przekonania, że treścią swéj treści nie różnią się one od innych tegoż pisarza. Oryginalność téż jego pod tym względem bardziéj przypomina postawienie jajka, aniżeli odkrycie Ameryki.

Umiejętność odtwarzania powierzchni dusz prostych zwierzęcoludzkich każe domyślać się umiejętności analogicznéj odtwarzania typów dziecięcych, pewno téż zawsze niemniejsze mistrzowstwo i tu potrafiłby rozwinąć D., gdyby mu nie stawały najczęściéj na przeszkodzie tendencye pedagogiczne i, co gorsza, w związku z niemi występująca skłonność do karykatury. Z tą karykaturą pedagogiczną spotykamy się co prawda tylko tam, gdzie chodzi o sferę t. zw. wyższą, bo dzieci chłopskie, jak Beldonek np., nie pozostawiają nic do życzenia.

Samo już przyjście na świat bohatéra „Wojtusiowych nieszczęść", potomka nader niepokaźnych próbek szlacheckiego rodzaju, w taki oto np. zabawny sposób nastraja styl autora. „Rozumie się, iż medycyna miała tu szerokie pole do zasłużenia sobie na wdzięczność całego ludzkiego gatunku za ocalenie tak wartościowego organizmu w gubernii radomskiéj." Domyśla się oczywiście czytelnik, że chodzi tu nie o klacz rozpłodową, lecz o matkę Wojtusiową.

Daléj w karykaturalny, choć trafny sposób opowiada D. historyą tresunku wychowawczego dzieci w domu i w szkole. Szczególnie ta ostatnia otwiéra upusty jego humoru. Już gapiostwo Wojtusia podczas egzaminu zachęca nas usilnie do pękania od śmiechu, sam zaś pobyt malca w zakładzie prywatno-naukowym piętrzy jedną na drugą przygody najzabawniejsze, ciągłością swą samą i ilością wychodzące z granic prawdopodobieństwa. Cierpi na tém oczywiście tendencya, tracąc na wyraźności, całą zaś tę farsę pedagogiczną kończy D. śmiercią Woj-

http://rcin.org.pl

tusia na szkarlatynę, dodając na zakończenie – jako p e n d a n t do wysiłków lekarzy i rozpaczy matki — śmierć bez poratowania i żalów niczyich, zamarcie ulicznika pod ławką na skwerze. I tak ginie bohatér wcale nie z winy pedagogiki domowéj lub szkolnéj, która była mu tylko źródłem zabawy lub przykrości. Ma on właściwie dwóch tylko wrogów: prześladuje go dziedziczność, a gubi przypadek.

Typ podobny dziecka niedołężnego, rachitycznego, pozbawionego wszelkich zdolności normalnych zarówno fizycznych jak i umysłowych, odtwarza znów D. w sposób już poważny w noweli „Jeszcze jeden niezdara." W tém godném uwagi i uznania studyum, nie mającém coprawda nic wspólnego ze sztuką, liczne przygody nie przeszkadzają bohatérowi wyróść na idyotę: daremnie pijana mamka dziecię z kołyską wywraca, a zakochana niania przez okno wyrzuca; daremnie później wypada chłopak-Staś z bryczki na bruk a Staś-młodzieniec truje się strychniną!

VII.

Wyniki téj analizy dałyby się streścić w sposób następujący. Żywych bohatérów dostarczają D: najciemniejsza warstwa ludu, zwierzęta i dzieci bardzo proste umysłowo. Natchnieniem płodném bywa mu skłonność do obserwacyi naturalistycznéj i humor. Wyjście ze sfery ciemnoty, przesądów i dzikości nie płuży pięknu w utworach D.: i szlachcic może mu się niekiedy udać, ale musi być niemniéj od chłopa najgłupszego bliskim stanu zwierzęcego, chociażby wina zamiast gorzałki używał. Dziedzina większego zróżniczkowania się duszy, wymagająca głębszéj i subtelniejszéj analizy psychologicznéj oraz intuicyi artystycznéj—dostępną nie jest D. stanowczo. Potrafi on czasem scharakteryzować jakiś typ komiczny wyższego porządku, lecz tylko określeniami oderwanemi, nie zaś sposobami artystycznemi (np. Dębołucki w noweli „Świat i ślepa dziewczyna"). Ale jego artyści, literaci, nie mówiąc już o arystokratach, wogóle ludzie o wyższych niby potrzebach i zasobach duchowych—to coś lichszego nawet niż maryonetki: pajace to, podrygujące w śmiesznie przykry sposób przy niezręcznych pociągnięciach za sznurek. Narzędzia artystyczne D. zbyt są grube i proste do roboty delikatniejszéj. Nie piłą i siekierą rzeźbi się w drzewie. Szczególnie powieści niektóre nastręczają tę uwagę.

Śpieszę jednak powiedzieć, iż nie wszystkie postaci D., z téj sfery są zupełnie nieudatne, działalność jego na tém polu nie różni się duchem od téj, którąśmy się dotychczas zajmowali. Niekiedy powieści jego uderzają nawet pewnym ładem, świadomością celów i znajomo-

http://rcin.org.pl

ścią środków. Możnaby je też, jak i nowele, podzielić na studya naturalistyczno bytowe nad danym typem i studya społeczno bytowe nad daną dziedziną życia społecznego. Oczywiście mówię tu nie o matematyczie ścisłém odgraniczeniu, lecz jedynie o charakterze dominującym.

Próbą najlepszą pierwszéj z tych kategoryi jest „Pan Jędrzéj Piszczalski." Historya to całego żywota — od kolébki do mogiły — zamożnego, ale zupełnie głupiego szlachcica. Prototypem Piszczalskiego jest prawdopodobnie Nabłocki, bohatér noweli p. t. „Z psiarni, pola i kniei." Takież nieuctwo zupełne, toż zamiłowanie do psiarni i stajni, taż awanturniczość, tenże brak bezwzględny wszelkiéj myśli wznioślejszéj, interesów wyższych. Tylko Piszczalskiego przeniósł autor o jakie parę dziesiątków lat wstecz od Nabłockiego, mógł go więc uposażyć w większą dozę skłonności atawistyczno-szlacheckich. Jednéj z osób działających wkłada D. następującą opinię o bohatérze, która wygląda na jego własną.

„Piszczalski jest typem szlachcica... To człowiek, na którym można polegać: dla zysku nie poświęci on nigdy godności osobistéj, duma i żądza sławy, fantazya poety i męstwo rycerza nigdy nie znalazły dla siebie lepszego siedliska. Tylko tacy mogli chodzić na wyprawy krzyżowe, oswobadzać Wiedeń od Turków, bić się pod Warną... Ten dobry, spokojny typ rycerza, wobec rozwoju nauk i wynalazków, jest ośmieszonym Donkiszotem. Uczony, przemysłowiec, kupiec mogą nazwać Piszczalskiego głupim; ja twierdzę, że to jest człowiek zaginionéj epoki, czysty gotyk."

Otóż jabym się na to nie pisał. Zapewne, przy odpowiedniém zarażeniu się psychicznem, byłby z Piszczalskiego dobry żołnierz, ale cech jego prawdziwie rycerskich nie pokazał nam autor wcale. Nigdzie nie spotykamy się tu ze śladem jego zdolności do poświęceń, tęsknoty do służenia jakiemuś ideałowi, rwania się z ciasnéj klatki, do jakiéj go los zamknął. Marzenia jego o wojnach i walkach bohaterskich dadzą się sprowadzić do radziwiłłowskiego łgania o rzekomych swych przygodach wojennych, do tytułowania się rotmistrzem i wogóle utożsamiania siebie z ojcem, starym żołnierzem napoleońskim. Zdaje mi się, że zarówno od szczerego rycerstwa bez trwogi i zarzutu, jak i od donkiszoteryi różni się on zupełnym brakiem ideału, jako impulsu wewnętrznego do bohaterstwa. Wszystkie czyny jego wyjątkowe wypływają z samolubstwa i próżności, od świata zaś ucywilizowanego dzielą go nie popędy rycerskie, lecz poczucie swéj ciemnoty obok instynktów i upodobań rubasznych.

Biorąc rzecz na logikę, rozumiał D., że natura niezwykła a niezgodna z formami życia, przez los narzuconemi, musiała je rozsadzać,

http://rcin.org.pl

stając się źródłem wielu nadzwyczajności, to też piętrzy je on na drodze pana Jędrzeja; są to jednak przypadki, wymyślane według sposobu tworzenia „bajek cudownych", lecz nie mające żadnego związku koniecznego z duszą bohatéra: nie z niéj one płyną.

Więcéj może od samego Piszczalskiego wart w téj powieści Horda-Drakiewicz, wyborny typ pieczeniarza, który przehulawszy własny majątek pomaga do tego innym. Łgarz ten i facecyonista, uosobienie obżarstwa, opilstwa i humoru szlacheckiego, ucywilizował się o tyle, że do karciąt jest chętny i do umizgów skory. Na jego intencyą wystudyował nawet D. sposób mówienia wołyńsko-poleski. Typ to na wskroś komiczny i dzięki temu prawdziwém życiem przez autora obdarzony i nawet oryginalny, co po Falstafach i Zagłobach rzeczą jest nie małą.

Innéj powieści-studyum dał D. za bohatéra wyżła „Asa." Rzecz to słaba, wciąż utykająca na szkopułach trywialności i nienaturalności. Zarówno stare panny, pierwsze właścicielki bohatéra, jak i drugi jego właściciel ze swojém myśliwstwem odświętném — są to karykatury pospolite z jakiegoś świstka dla śmiechu, tragedya zaś małżeńska owego p. Albina, dla któréj rozwiązania użył D. oprócz wyżła swojéj psychologii chłodno-rozsądnéj—razi poprostu niewielką wartością swéj treści i formy. Dom leśniczego Sarmaty, dokąd dostaje się bohatér na wychowanie, najlepiéj się jeszcze przedstawia. I sam Sarmata (*nomen-omen!*), grubaśny i obżarty leniuch, i brat jego, „mądry" niedołęga, i gospodyni z synem—są to nader zręcznie, choć zgruba, naszkicowane postaci, ale już hrabski pałac, dokąd się po wielu przygodach As dostaje, wygląda bezbarwnie. Sam wreszcie bohatér tytułowy, którego autor pozbywa się wreszcie przez spalenie go w sposób bajecznie nadzwyczajny, ustępuje wielce pod względem charakterystyczności innym współplemieńcom u Dygasińskiego. Snać psia dusza nie mogła dostarczyć wątku do całéj powieści.

Niektóre powieści drugiéj kategoryi odznaczają się charakterem bieżąco-społecznym. Np. emigracya brazylijska staje się u nas kwestyą tak wielkiéj wagi, że dla zbadania rzeczy na miejscu jedzie Dyg. za ocean i wnet zużytkowuje zdobyty w ten sposób materyał na odzwierciedlenie całości ruchu emigracyjnego. („Na złamanie karku"). Całe miasto i kraj nawet wielce się zajmuje skandalicznemi a starannie ukrywanemi nadużyciami w pewném przez grono obywateli-gorzelników założonem towarzystwie rektyfikacyjnem — i oto D. pisze „Gorzałkę."

Charakter tendencyjny tego rodzaju natchnień D. wyraźnie się odbija na płodach téj kategoryi. Sytuacye bywają tu zbyt często nie

http://rcin.org.pl

kombinacyą momentów duchowych, lecz przedewszystkiém zjawiskami społecznemi; osobistości wyglądają niekiedy nie na osobniki o jakimś wewnętrznym zbiorniku impulsów działania, lecz na kółka w machinie społecznéj, opisane ze strony zewnętrznéj. Postaci jego różnią się tu wyraźnie czynami i rozumowaniami, poza któremi nie uda się nam jednak wyczuć pierwiastka emocyonalnego, stanowiącego właśnie duszę artyzmu. Tu bardziéj nawet niż w humoreskach bytowych, pisanych niby dla ochłody w skwarach życia, czuć się daje brak „ukrytego ciepła," jakby powiedział fizyk.

Trafnych spostrzeżeń tu moc; logicznych rozwikłań kolizyi — nie brak; charaktery najczęściéj bardzo konsekwentnie są przeprowadzone (o ile oczywiście jakaś teorya lub zasada nie każe rzekom płynąć wstecz), ale wszystko to, razem wzięte, daje nam p o j ę c i e tylko o danéj stronie życia, pojęcie, które równie dobrze dać by nam mogła porządna analiza oderwana. Jeżeli się zaś natrafi w powieściach tego rodzaju na scenę nacechowaną artyzmem, będzie tam znowu chodziło o humor; jeżeli napotkamy typ nie protokularno-anegdotycznie przedstawiony, będziem mieli niechybnie typ szczerze komiczny, lub okaz nieświadomego zwierzęcia ludzkiego.

Najharmonijniejszą z takich powieści publicystycznych jest niewątpliwie „Na złamanie karku." Cały przebieg emigracyi gromady chłopskiéj opowiedziany tu jest za pomocą dyalogu i bez niego, od chwili rzucenia odezwy przez agenta ładnéj dziewce z Rokitnicy aż do powrotu do kraju szczęśliwszych z nieszczęśliwców. Etapy w Bremie i w Rio-Janeiro, wszystkie nędze i trudy biedaków pod zwrotnikami są tu opisane niemniéj jasno, lecz bardziéj wyczerpująco niż w „Listach z Brazylii" tegoż autora. Wszystkie chyba możliwe typy emigrantów naszkicował autor wybornie. I piękna bałamutka Grzędzianka, kończąca rozpustą w Rio-Janeiro; i energiczny a wytrwały niezłomnie młody parobek Wicek Strzała; i Głodzikowski, stary chłop pijak, gwałtem córce dorosłéj młodą dziewczynę za macochę dać chcący; i złodziéj Cierniak; i nawpół święty starowina Kobylak; i poczciwy Kuc z takąż Jagną— najdoskonalsze typy parobka i dziewczyny; i krawiec złośliwy z szewcem blagierem — wszystko to są postaci, nader trafnemi rysami naszkicowane przez człowieka rozumnego, znającego się doskonale na rzeczach i ludziach; nie ma tu tylko ani jednéj duszy, odtworzonéj artystycznie. Opisy pobytu emigrantów w Bremie i w barakach brazylijskich oraz podróży morskiéj—wierne to wprawdzie szkice spostrzegacza bardzo sumiennego i niemniéj inteligentnego, ale grozy, jaką tylko artyzm prawdziwy mógłby wywołać,—nie czujemy tu wcale: w i e m y

http://rcin.org.pl

tylko, że to było okropne. „Gorzałkę", napisaną z większą trochę werwą, psuje znów bardzo przeładowanie nadzwyczajnościami i tendencyjność. Zarówno luminarzowi gorzelnictwa, bogatemu obywatelowi, którego dewizą jest takt, jak i księdzu, ascecie-fanatykowi, najstraszniejszemu wrogowi „gorzałki" — daje autor za braci nie już gałganów, lecz rzezimieszków skończonych; z tego źródła tryska tysiąc niespodzianek, przypadkowy tylko związek z gorzałką miéć mogących.

Najlepszemi i najbardziéj żywemi postaciami w powieści są doktór filozofii Koperkiewicz i chłop Maruda. Pierwszy—to szczerze komiczny typ fałszywego poczciwca, z temperamentu i blagi krewny duchowy prostaka Hordy Drakiewicza, różniący się od tego protoplasty swego większą przedsiębiorczością skierowaną przytém ku nabiciu kabzy nie zaś ku użyciu chwilowemu i, co zatém idzie, trochę podlejszy. Drugi—to stary chłop robotnik przy gorzelni „taktownego" Strumskiego, kierujący się w sprawach fachu zwierzęcym niemal instynktem, który często okazuje się mądrzejszym (jak twierdzi autor) od wiedzy gorzelanego i dziedzica z ich instrumentami. Chłop to uparty, jak mazur, a zawzięty, jak dwa mazury. Mimochodem opowiedziane okrucieństwo jego względem córki uwiedzionéj; daléj stosunek surowo-miłosny do jéj syna; nienawiść i wzgarda dla uwodziciela pijaka, dziedzicowego brata, spływające na całą rodzinę jego po części — wszystko to stanowi nader trafne i naturalne połączenie rysów tego pół dzikusa. Pijaństwa jego—z bójką czy bez bójki—z Ksawcem Strumskim, owym zięciem z lewéj ręki, rozmowy z wnuczkiem Tomusiem opryskliwe czy łagodne, kłótnie z gorzelanym i dziedzicem, podpalenie przez zemstę gorzelni ukochanéj, z któréj go wygnano na starość, powrót wreszcie z kryminału i sceny z poczciwym a podejrzewanym o „zciaraszenie się i zhardzenie." Tomusiem, który dzięki księdzu i córce dziedzicowéj wyszedł tymczasem, jak to mówią, na ludzi — wszystko to są doskonałe momenty, zmuszające nas do żywszego trochę i serdeczniejszego interesowania się tą postacią. Ta prosta, gruba a swojska natura osobliwie jasno snać została przez autora nietylko zrozumiana, ale i jakgdyby odczuta. Czy jednak choć Maruda jest postacią artystycznie wzruszającą? Zdaje mi się, że on jeden stoi tu już na rubieży sztuki.

Powieści D. nie mają pierwszych i drugich planów. Wszystkiemi osobami działającemi zajmuje się umysł jego zarówno, jednakich środków używając do ich scharakteryzowania. Przypominałoby to George Elliota, gdyby nie było takiéj różnicy olbrzymiéj w stopniu artyzmu. W każdym razie tylko powieści-studya posiadają wyraźnie bohaterów. Uwzględniając jednak punkt, ku któremu głównie zmierzają wy-

http://rcin.org.pl

padki w „Gorzałce", za bohatéra jéj możnaby uznać Augusta Strumskiego, „dziedzicowego" syna, wyrodnego niby na początku, potém zaś nagle stającego się nieodrodnym. Młodzieniec szlachetny, bezinteresowny, niezależny, skrajnie przytém radykalnych—żeby nie powiedzieć więcéj—zasad, potępiający otwarcie i gwałtownie gorzelnictwo ojca, którego wstydzi się, jako wyzyskiwacza i rozpajacza ludu — staje się za jednym zamachem najgorliwszym zwolennikiem i popleczníkiem tego ojca, dzięki miłości dla cudnéj niby duszą i ciałem kobiety. Ciska on odrazu w kąt, jako błazeństwo, rozpoczęte dziełko przeciw gorzałce i bierze się natomiast do innego, wysławiającego rolę jéj kulturalno-dobroczynną. Tak więc „algebra psychologiczna" D. daje tu: szlachetne idee × szlachetne uczucie = podłe samolubstwo.

Godzien jest uwagi sposób, w jaki dochodzi autor do tego rezultatu. Rozdział VIII (t. IV) rozpoczyna on od wykładu logarytmów, jako zamiany działań trudniejszych na łatwiejsze i przeprowadzenia analogii pomiędzy algebrą a życiem, i następnie do téj teoryi, która wcale dobrze by wyglądała w zręcznem streszczeniu aforystycznem, nałamuje sytuacyą i duszę ludzką. Młody Strumski, po zerwaniu stosunków z ojcem i nadaremném choć krótkiém poszukiwaniu pracy, któraby mu umożliwiła rozwiedzenie ukochanéj i ożenienie się z nią, przychodzi do przekonania, że ta wzniosła droga jest szeregiem działań trudniejszych, wobec których przydałby się „logarytm życiowy." Idą więc precz przekonania, które zastępuje tylko myśl o własnym interesie; godzi się on z ojcem i gotów jest nawet siostry godność i szczęście zaprzepaścić, byleby swego dopiąć. „Gdzie nie można przeskoczyć, tam trzeba podléźć"; „cel uświęca środki"—przytacza D. odpowiednie formułki logarytmów życiowych.

Zdaje mi się, że taki nagły przewrót w istocie zupełnie świadoméj nie da się całkowicie usprawiedliwić. Można się tu tylko zastanawiać, co skłoniło D. do wytworzenia takiego nieprawdopodobieństwa. Może chodziło o myśl, że dziedziczne instynkty pijawkowo-gorzelnicze musiały prędzéj czy późniéj tryumfować nad wszelkiemi naleciałościami idealnemi, jakkolwiekby szczerze i trwale wyglądały? Może grała tu rolę teorya o upośledzającéj sile miłości? W każdym jednak razie możnaby powiedzieć, że tendencya zbyt gwałtownie z worka wyłazi, dziedziczność zaś działa zbyt piorunująco, niby jad wściekliznу. Najlepszą powieścią D. jest, jak mi się zdaje, jedna z ostatnich, nie wydana jeszcze w odbitce, p. t. „Dramaty lubądzkie." I tu jednak wyższy nieco stopień naturalności w biegu wypadków i toku uczuć i myśli osób działających mąci pewien właściwy D. rodzaj cudowności, w którą przedzierzga się niezwykłość. Myślę o tym jąkale, któremu wyma-

http://rcin.org.pl

wianie zamiast „pieszczoszka"—„pieczonka" nie przeszkadza być wysoce elokwentnym, nie mówiąc już o dobroci genialnéj, udającéj tylko po hamletowsku niejako głupotę. „Pieczonka" ów wszystko przewiduje, wszystko wyczuwa, jest nietylko sercem i sumieniem, lecz poniekąd i opatrznością wioski, dzięki téż temu staje się jéj męczennikiem. Przypomina on mocno, aczkolwiek na korzyść Dygasińskiego, owego idyotę genialnego Konopnickiéj, Franka; na różnicę składają się tu marzycielstwo smutne Konopnickiéj i zdrowy humor Dygasińskiego. W każdym jednak razie w historyi żywota tego Pieczonki są momenty, które, pomimo zupełnie określonych poglądów na talent Dygasińskiego, skłoniły mnie do podejrzewania tu w nim jakiegoś osobliwego drgnienia duszy, pod osobliwym jakimś wpływem. Byłbym nawet tego pewny, gdybym nie wiedział, co może inteligencya przy dokładnéj znajomości techniki. Takie poprawne sympatycznie nowele, jak: „Przy kościele" lub „Cud na roli" odrazu zdają mi się możliwemi do wytłómaczenia przez dobrze zrozumiany konwensans, ale inaczéj się dzieje z taką np. sceną, w któréj oburzony rozpaczliwie na patrycyat wioski Pieczonka, idąc za dwoma jego członkami, nie może powstrzymać swoich zapędów prorockich. Zapewne, prorokować tak nie mógł jąkała—pół-idyota, ale ten ustęp działa na nerwy. W zaciętości szalonéj téj wzgardy dla złego brzmi jakiś akcent dramatyczny, na który sam tylko humor i rozum-by się nie zdobyły. Wspomniałem „Cud na roli", muszę się więc zastrzedz, że gdyby mnie autor chciał zapewnić, że i ta nowela zrodziła się z innego jakiegoś źródła, że dało jéj początek jakieś niezwykłe tchnienie ducha — nie śmiałbym przeczyć.

Wracam jednak do „Dramatów Lubądzkich". Całość téj powieści charakteryzuje ludność wiejską, jak zwykle, pijactwem, przesądnością, ciemnotą, okrucieństwem, dzikością, nie okraszoną nawet jakiemiś instynktami ludzko-społecznemi. Wszystko, co dobre, nietylko ginie, lecz zginąć musi, wszystko co złe — zwycięża. Zdawałoby się, że z owego występku ukaranego i cnoty tryumfującéj dawnych pisarzy sentymentalno-moralnych Dygasiński zrobił sobie tu formułę, tylko odwrotną.

VIII.

Z rozdziału poprzedniego nie wyprowadził chyba czytelnik wniosku, że ja powieściopisarza stawiam w Dygasińskim wyżéj od nowelisty. Przeciwnie. W nowelach jego spotykamy się częściéj z czémś

http://rcin.org.pl

nowém i oryginalném, z czémś artystycznie charakterystycznem, z czémś, co nas zajmie, zapisze się w pamięci jako wrażenie estetyczne, aczkolwiek niegłębokie. W powieściach zmuszeni jesteśmy nieraz ocenić zręczność wielką w układaniu planów ogólnych, w wikłaniu wypadków, w potoczystém rozwijaniu akcyi, w umiejętnie stopniowaném posuwaniu naprzód historyi jakiegoś szeregu zjawisk społecznych, środowiska lub osobnika, ale wszystko to jest przeważnie tak obojętne artystycznie, aczkolwiek interesujące życiowo-społecznie. Wogóle zdaje mi się, że Dygasiński nowelista więcéj może zwrócić na siebie uwagi przyszłego historyka literatury, niż Dygasiński powieściopisarz.

Jeżeli Dygasiński jest największym artystą z pomiędzy naturalistów, to jest też największym naturalistą wśród artystów. Osobniki są dla niego bądźcobądź nie w mniejszym stopniu okazami gatunków, jak artystycznie pojętemi i odczutemi typami.

Naturalistą też nie przestaje on być oczywiście i wtedy, kiedy chodzi o ludzką rodzinę w ogólném plemieniu czworonogów i ptaków. Jeżeli zaś życie „w gnieździe ludzkiém" zdaje mu się czasem bardziéj interesującém, to jedynie ze względu na większą stosunkowo ilość środków i potrzeb istnienia, na bardziéj złożone kombinacye i sztuczniejsze maskowanie zasadniczych instynktów zwierzęcych.

Dzięki temu wyobraźnia jego lubuje się szczególnie w takich typach ludzkich, które mogą służyć za dowód oczywisty teoryi Darwina. Chłop, najczęstszy i najdoskonalszy przedstawiciel rodzaju ludzkiego, w dziełach Dygasińskiego — to troglodyta, szkicowany przeważnie w swéj ciemnocie śmiesznéj, niekiedy nawet potwornéj.

Nie znajdzie się chyba nikt, komuby się nie zdarzyło być świadkiem jakiegoś bezinteresownie szlachetnego czynu, jakiegoś szczytnego słowa, płynących z „prostéj, miernéj duszy", jak mówi Konopnicka, ale Dygasiński zdaje się nic o tém nie wiedzieć. Żaden instynkt, nietylko ideał, nie nadający się do wyprowadzenia bezpośrednio z instynktów zwierzęcych, tak samo nie kieruje nigdy Maćkami i Bartkami Dygasińskiego, jak i jego Asami i Targajami. Wielkie, wprost z serca natury czerpane uczucia i myśli „maluczkich" i „ubogich duchem" obce są téj wyobraźni, zahypnotyzowanéj przez tak dobrze dopasowane do duszy poglądy pozytywne, których charakteru zmienić nie mogą rzadkie zakusy panteistyczne. Jeżeli wśród ludzkich bohatérów jego znajdzie się jakaś miłość—macierzyńska czy też inna—lub przyjaźń, to w takim jedynie stopniu, jakim obdarza niemi Dygasiński psie czy ptasie matki, małżonki czy przyjaciół.

http://rcin.org.pl

Otóż wyznaję, że ta niwelacya duszy, choć chłopskiéj, aleć zawsze człowieczéj, do poziomu zwierzęcego razić może niekiedy uprzedzenia nasze na korzyść kasty ludzkiéj w wielkiéj społeczności zwierzęcéj na ziemi. Jeżeli jednak autor zapomni na ten najogólniejszy swój pogląd nacisku zbyt silnego położyć komentarzem odpowiednim, kupuje nas całkowicie jego otwartość i szczerość, omal nie naiwna. Bo i cóż on winien ostatecznie, że takie właśnie strony duszy i życia, a nie inne, pobudzają jego twórczość? Dopiéro wtedy mielibyśmy prawo miéć żal, gdyby nam powiedział, że, według niego, cały chłop jest w jego dziełach, tymczasem zaś winniśmy mu wdzięczność za tę trochę prawdy i piękna, jakie nam dał.

Józefat Nowiński.

F 7572

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
7572

http://rcin.org.pl